ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Lipca 1895. Nr. 14.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Choroba pana Marka Siekierzyńskiego była długa i ciężka; to jednak przyznać trzeba Zborowskim, iż go troskliwie w swoim domu pielęgnować kazali. Wreszcie też siły młodzieńcze przemogły chorobę i pan Marek powstał z łożá, lecz dziwnie jakoś zmieniony. Lubo przyjaciół swoich nie opuścił, bo go o to znowu nowym długiem wdzięczności przywiązali, to przecie sprawa ich nie zdawała się obchodzić go już tak żywo, jak przed chorobą, kiedy to tyle uczynił, aby im zwolenników przysporzyć. Gdy zaś sam Andrzej wymawiał mu tę zmianę, rzekł:

— Nie pochodzi to wcale ze zmiany mego serca ku wam, kochany panie Andrzeju, ale z rozterki jaką mam w duszy. Stałem ja już przecie u bram śmierci, więc sprawy ziemskie jakoś inaczej mi się przedstawiają. Żali się to godzi dla prywaty podnosić takie niepokoje w kraju?

— Co? co? — krzyknął ze źdźiwieniem Zborowski. — Więc dla tego, aby było spokojnie, mamy nasze krzywdy darować? A krew naszego brata Samuela, czyż nie woła o pomstę do nieba?

Pan Siekierzyński machnął ręką i rzekł:

— Dajmy już temu spokój!... to tylko jeszcze powiem, że mam duszę obolałą i boję się wojny domowej, bratniego krwi rozlewu, bez którego bodaj się obędzie, boć Zamojski będzie się bronił... a i to też prawda, że najpoważniejsi senatorowie, najzacniejsi obywatele po jego stronie się opowiedzieli...

— Jak? jak? najzacniejsi są za Zamojskim? Co przez to rozumiesz? Czyli to nas odsądzasz?

Nagle wzdrygnął się pan Marek, przyszedł mu na myśl Adam Wisłocki, więc przerwał zaperzonemu panu Andrzejowi.

— Nie gniewaj się, panie Andrzeju. Źlem powiedział, bo przecie przy kanclerzu są też łotry nad łotrami....

— A to widzisz! a to widzisz! A jakżeś to mógł prywatą nazwać obronę naszych praw i swobód szlacheckich? Czyli to my nie walczymy za cały stan szlachecki? Czyli to....

— Przestańmy już mówić o tem, bardzo cię proszę, panie Andrzeju — rzekł stanowczo pan Marek — widzisz, że się nie zgadzamy, a nie chciałbym się z tobą spierać...

— Jak chcesz, kochany kuzynie! Nie, to nie! Ale przecie nie porzucisz naszej sprawy aby?

— Cóż znowu! Tyle wam winienem... Lecz kończmy tę rozmowę i nie naruszajmy tych spraw, — tu młody panicz odwrócił rozmowę i unikał jej odtąd ze Zborowskim.

Milczący był zawsze i ponury, na jego niezwykle pięknej twarzy rozsiadł się nieprzemożony smutek, snać jakiś robak gryzł młode, gorące serce młodzieńca. Gdy jednak przyszedł czas ciągnąć do Warszawy na elekcyę, poszedł ze Zborowskimi i ich najemnem wojskiem, nad którego jedną chorągwią oddał mu pan Andrzej buławę pułkownikowską.

Stanął tedy pod Wolą, blisko Warszawy, cały niemal stan szlachecki, bo każdy szlachcic miał prawo dać głos na tego, kogo chciał obrać królem. Liczny obóz Zborowskich, zbrojny nawet w armaty, rozłożył się szeroko, niby miasteczko jakie, naprzeciw stanął wielki hetman Zamojski ze swymi zwolennikami, a w środku, między temi dwoma wrogiemi stronnictwami, zajął miejsce senat z prymasem Karnkowskim na czele. Litwini zatrzymali się także osobno i tak zwani neutralni, czyli tacy, którzy nie należeli do żadnego stronnictwa, też się osobną kupą trzymali.

Arcybiskup Karnkowski, jako prymas, który zawsze w bezkrólewiu zastępował króla, otworzył sejm w dzień oznaczony, zachęcając do zgody i jedności, przypominając, że tylko wtedy będzie można radzić uczciwie, gdy zamilkną kłótnie; błagał tedy i prosił o spokój, a senatorowie mu ze wszystkich sił dopomagali, nalegając, aby najprzód obydwie nieprzyjazne strony wojsko rozpuściły; lecz Zborowscy dufając w swoje wielkie siły, ani słyszeć o tem nie chcieli.

Rozpoczęły się narady. Zamojski domagał się obalenia niecnych postanowień sejmu konwokacyjnego, Zborowscy zaś gwałtem obstawali przy nich. Jakże więc mogło przyjść do zgody? Pyszni i uparci bracia tak się zacięli, że nietylko postanowili nie ustępować ani krokiem, ale nawet nie chcieli się zgodzić na zmianę, to jest na złagodzenie konwokacyi, które prymas doradzał. Zamojski zaś pozwolić nie mógł, aby ją przyjęto, taką jak była.

Wiemy już, co Zborowscy na konwokacyi przeprowadzili; pomiędzy innemi: oddanie kanclerza pod sąd, zniszczenie aktów w ich sprawie i wyroku na Krysztofa, jako też przyjęcie konfederacyi warszawskiej. Czyż więc podobno, aby Zamojski jako kanclerz, mógł się zgodzić na takie znieważenie urzędu i prawa? Albo czyż mógł przychylić się do osławionej konfederacyi, która zapewniała prawa innowiercom, a odejmowała je prostemu ludowi? Nie byłby nigdy przystał wielki hetman na taką krzywdę włościan, on który domagał się niedawno na sejmie nagród i szlachectwa dla tych synów mieszczańskich i chłopskich, którzy w wojnie moskiewskiej odznaczyli się męztwem, i których też wielu, gdy otrzymali szlachectwo, przyjął do swego herbu.

Kiedy więc dla uporu i nikczemności Zborowskich, a dla zacności i poczciwości Zamojskiego, nie mogło przyjść do zgody, utworzyły się wtedy obok senatu, jakby jeszcze trzy sejmy to jest: litewski, stronnictwo Zborowskich i kanclerza. Dwa ostatnie stronnictwa, zwane kołami, obradowały osobno, a podjudzane przez wichrzycieli i zapaleńców, zamiast do porozumienia, do takiej doszły niezgody, że wojska ich stanęły naprzeciw siebie w szyku bojowym. W zamięszaniu padł strzał: zabito dwóch towarzyszów Zamojskiego, on sam ledwo śmierci uszedł, i zraniono śmiertelnie kanonika Brzezińskiego; skoro zaś w se-

nacie zaczęli obalać niecne uchwały konwokacyi, Zborowscy zatoczyli przeciw senatowi armaty. Wtedy wielu z rycerzy nienależących do żadnego koła, stanęło w obronie senatorów; chorągwie zaś Ostrogskich i Opalińskich, jako też Sandomierzanie ze swym wojewodą stanęli po stronie kanclerza, przyłączając się do jego szyków; po obydwóch stronach było razem przeszło 50 tysięcy wojska; senatorowie dosiedli koni, a chorągwie szły do walki. Już, już miała się krew polać, gdy siedmdziesięcioletni arcybiskup rzucił się pomiędzy szeregi i nuż błagać i zaklinać ze łzami, aby się przecie pohamowali.

— Mości panowie, a bracia! — wołał wyciągając ręce — pomnijcie na wspólną matkę Ojczyznę, na hańbę i wstyd, którym się okryjecie wobec całego świata, gdy umaczacie ręce w krwi bratniej. Zlitujcie się sami nad sobą! Zlitujcie się nad matką Ojczyzną, którą tą niezgodą na śmierć wskazujecie!

Wołanie to siwowłosego starca, arcypasterza zażegnało przecie burzę; wojska się cofnęły i przystąpiono do wysłuchania posłów cudzoziemskich. Każdy poseł zachwalał swego pana, wyliczał korzyści jakie kraj osięgnie, skoro go na króla wybiorą, sypał hojnie obietnicami, nie szczędząc zabiegów i pieniędzy. Oprócz innych, dwoma głównymi kandydatami do tronu polskiego byli: Maksymilian, arcyksiążę austryacki, którego koniecznie obrać pragnęli Zborowscy, i Zygmunt, królewicz szwedzki, popierany przez ciotkę, królowę Annę, a za którym oświadczył się też ostatecznie Zamojski, prymas Karnkowski, niemal wszyscy senatorowie, biskupi i większa część szlachty.

Ci tedy wszyscy zasiedli do obrad i wezwali Zborowskich, oraz ich stronników, aby razem radzili i zgodzili się przecie na jednego króla. Przyszli tedy Zborowscy, ale widząc się w mniejszości, zaczęli zaraz kłótnie i zwady, jęli grozić rozlewem krwi i wrzeszcząc, opuścili zebranie. Poczęto więc znowu radzić osobno, a wszelkie usiłowanie prymasa, senatorów i kanclerza, aby jedność i porozumienie sprowadzić, okazały się bezskuteczne, i nie mogło być inaczej, bo Zborowscy postanowili, nie zważając na większość, koniecznie przeprowadzić swego kandydata Maksymiliana.

Gdy wreszcie nadszedł ostatni dzień elekcyi, 19-go Sierpnia, prymas widząc, że do zgody nie przyjdzie i że większość jest za Zygmuntem, rozkazał w kole kanclerza zebrać głosy, które wszyscy na królewicza szwedzkiego oddali. Wtedy arcybiskup ogłosił uroczyście Zygmunta królem; posłowie szwedzcy podpisali natychmiast pacta conventa to jest te warunki, na które każdy król godzić się musiał, poczem wszyscy udali się do kościoła i na podziękowanie Panu Bogu odśpiewano uroczyste Te Deum. Następnie wyprawiono panów Marcina Leśniowskiego i Jana Bojanowskiego do Szwecyi, aby nowowybranego króla do Polski przywieźli, naznaczono dzień koronacyi i wreszcie kilku senatorów pojechało do Gdańska, aby tam na Zygmunta czekać i powitać go w imieniu całego narodu.

Gdy się Zborowscy ze swymi stronnikami dowiedzieli o jednogłośnym wyborze królewicza szwedzkiego, zgłupieli w pierwszej chwili i nie wiedzieli, co robić. Myśleli oni, że z najętym żołdactwem będą mogli robić wszystko, co im się tylko będzie podobało; a tu pomimo ich licznego wojska i armat, pod samym im nosem wybrano i ogłoszono króla, którego oni żadną miarą nie chcieli. Niedziwota przeto, że zrazu nie wiedzieli co począć, tylko wściekali się ze złości. Dopiero, gdy posłowie cesarscy zaręczyli Zborowskim, że ten ich nie opuści, poszli za swoją pychą i uporem; postanowili wybrać królem Maksymiliana, choć znaleźli się przecie rozsądniejsi i poczciwsi, którzy usilnie radzili, aby się poddać woli większości, nie rozrywać jedności narodu, lecz uznać Zygmunta królem.

Ale dobre rady były grochem na ścianę; w trzy dni po wyborze Zygmunta, chociaż szlachty było niewiele i tylko pięciu senatorów, odbyli elekcyą i wy-

brali Maksymiliana; jednego zaś biskupa, nominata, który sam jeden był po ich stronie, zmusili do ogłoszenia go królem; ponieważ do Warszawy tych sławnych wyborców nie wpuszczono, przeto odśpiewali Te Deum przed bramami miasta, w kościele OO. Bernardynów. Tym więc sposobem, w skutek zuchwałości i pychy Zborowskich, miała Polska dwóch królów.

Dzielny hetman Zamojski nie poprzestał na samym wyborze Zygmunta, lecz raźnie się krzątał, aby go cały naród uznał królem, a prymas w Krakowie ukoronował. W tym celu zwołał zjazd do Wiślicy i postanowił czemprędzej zająć stolicę. Skoro więc jeden z przyjaciół Zborowskich, możny pan wielkopolski Górka, z wielkiej radości, że Maksymilian został wybrany, sypnął złotem i wyprawił ucztę najemnym chorągwiom, na której spili się mężni żołnierze jak bele, wielki hetman prześlizgnął się ze swojem wojskiem tuż obok obozu Zborowskich, w którym tak wesoło ucztowano i bawiono się. A ponieważ straże spite, licho pilnowały i nie stawiły wcale chorągwiom Zamojskiego oporu, przeto hetman dla większej hańby i wstydu przeciwników, rozkazał swoim żołnierzom strażników pochwytać i ochłostać za złe i niedbałe spełnienie obowiązku.

Można sobie wyobrazić, jak się Zborowscy wściekali, gdy kanclerz nietylko ubiegł Kraków, ale jeszcze ich obóz wstydem i śmiesznością okrył. Żeby więc choć zjazdowi przeszkodzić, zajęli Wiślicę, wszelako nie na wiele im się to zdało, bo zjazd odbył się pod Wiślicą, na wzgórzu, przedzielonem od miasta rzeką i bagnami, tak tedy nie mogli mu przeszkodzić.

Na tym zjeździe pochwalono wybór Zygmunta i wyprawiono po niego nowych wysłańców, aby swój przyjazd przyspieszył. Dalej wysłano posłów do Maksymiliana z prośbą, aby nie kłócił spokojności narodu, który większością głosów wybrał sobie innego króla, oraz pojechali posłowie z wyjaśnieniem do Ojca św., Rzeszy niemieckiej, stanów węgierskich i szląskich, iżby wszyscy wiedzieli, jak się prawdziwie rzeczy mają, gdyż stronnictwo Zborowskich fałszywie je przedstawiało.

Tymczasem arcyksiążę Maksymilian na nic nie zważając, na czele sześciu tysięcy wojska wkroczył do Polski; Zborowscy ze swemi chorągwiami wyjechali mu naprzeciw i niebawem obydwie siły połączyły się w Olkuszu.

Maksymilian chciał zaraz uderzyć na Kraków, aby uprzedziwszy Zygmunta zajęciem stolicy, kazać się czemprędzej ukoronować. Atoli znaleźli się przebiegli doradzcy, którzy mu to odradzili, że hetman wielki to wódz i bohater znakomity, więc niełatwo dadzą mu radę; chyba zgniotą go przeważnemi siłami i zdradą. Wzięto się zatem na następujący sposób: przedewszystkiem wyprawiono gońców do Niemiec o liczne i szybkie posiłki, z któremiby arcyksiążę mógł Polskę opanować i Zamojskiego pobić; oraz wysłano tajemnych agentów do samego Krakowa z rozkazem, aby zamieszkałych tam Niemców fabrykantów i rzemieślników przeciągnęli na stronę Maksymiliana, co im się też udało. Niemcy przyobiecali przyjść z pomocą królowi swej narodowości i skoro stanie pod murami Krakowa i uderzy do szturmu, otworzyć mu bramy i rzucić się na załogę hetmana.

Maksymilian czekając na skutki swych usiłowań i posiłki z Niemiec, rozpuścił tymczasem swoje i sprzymierzone z nim wojska panów polskich po kraju, pustosząc go w straszliwy sposób, przez zemstę, iż go nie wszyscy z otwartemi przyjęli rękoma. Kronikarze piszą, że nawet dzicy Tatarzy nie dopuszczali się takich okrucieństw, jak żołnierze tego arcyksięcia, który chciał być królem polskim.

Zapłonęły tedy szeroko wsie, miasteczka i zamki, ledwo kilka większych zdołało się obronić i to nieraz z wielkim trudem i poświęceniem; płacz i narzekanie powstały wszędzie, którędy chorągwie Maksymiliana przeszły, najemni żołdacy dopuszczali się mordów, grabieży, gwałtów. Straszliwa stopa wojny

deptała nieszczęśliwy kraj, wyciskając na każdym kroku krew i łzy. Każda wojna jest okropna w skutkach, lecz najgorsza wojna domowa, a taką właśnie ta była, bo lubo niezbyt wielu, to przeprzy tem popełniono krzywd, bezprawi, gwałtów, mordów, rabunków i grabieży, któż wyliczy, kto wypowie?

Zaraz po zamknięciu się Zamojskiego w Krakowie, Zborowscy pozajmowali



Ks. kardynał Ledóchowski.

cież jednak rycerstwo polskie walczyło po stronie najeźdzcy przeciw własnym rodakom, przelewając krew bratnią. Kto miał do drugiego jaką urazę, żal, nienawiść, to teraz wywierał bezkarnie swoją zemstę, oddając z nawiąską. Ile

większą część zameczków w jego okolicy tak, że hetman odcięty był zupełnie od reszty kraju. Mimo to wiedział dobrze, co cierpi nieszczęsna Ojczyzna, jak utrapioną jest rodzinna ziemia, którą tyle razy własną piersią przed wro-

giem zasłaniał, wiedział, jak ciemiężony jest lud bezbronny, któremu on był opiekunem i orędownikiem. A tu żadną miarą nie mógł iść na pomoc choć mu serce pękało z żalu, a gniew włosy podnosił na głowie. Siły jego zbyt były drobne, aby niemi mógł jednocześnie bronić stolicy i uderzyć na nieprzyjaciela w polu, a to rozumiał hetman doskonale, że skoroby raz opuścił Kraków, natychmiastby go Zborowscy zajęli i Maksymiliana ukoronowali; a wtedy ten król narzucony przez pychę, zemstę i upór garstki wichrzycieli, zapanowałby nad niechętnym mu krajem, lub przyszłoby do jeszcze sroższego krwi rozlewu.

Nastały więc dla wielkiego męża dni ciężkie i straszne: całe noce chodził po komnatach królewskiego zamku, wysilał umysł, co począć, jak bronić słusznej sprawy, jak ratować Ojczyznę od ostatecznej niedoli, jak bezpiecznie przeprowadzić młodego króla do stolicy, otoczonej przez nieprzyjacielskie zastępy. Rozesłał wprawdzie hetman po kraju agentów, aby ci zbierali ochotników dla sprawy Zygmunta; ale niestety niewielu było skorych; ten i ów oglądał się na przyszłość, obawiając się zemsty arcyksięcia, skoroby mu się udało osięgnąć panowanie. Większość wolała czekać na to, co los zdarzy i na którą stronę padnie wygrana.

Zrozumiał Zamojski, że pomocy spodziewać się może tylko od samego Boga; i ufając w słuszność i zacność swej sprawy miał nadzieję, że go Pan Bóg nie opuści. I tak się też stało; najwyższy Monarcha, który w ręku trzyma losy całego świata, który brzydzi się pysznymi i poniża ich, a maluczkim i pokornym łaskę daje, wybrał lichego, według rozumienia ludzi, człowieka i zesłał hetmanowi pomoc ze strony, z której jej się ten nigdy nie spodziewał.

Wspominaliśmy już kilka razy, jak gorliwie interesował się Hołubek tem, co się w kraju działo, co się Ojczyzny tyczyło; w skromnym więc domu górnika wiedziano doskonale, jak niesłusznie i bezprawnie nastąpił wybór Maksymiliana. To też zacny Gabryel sposępniał bardzo, gdy się dowiedział, że dwóch królów obrano i, że bez wojny domowej się nie obędzie. Aż gdy wojska austryackie wtargnęły do Polski i rozlały się jak burzący potok w okolicy Olkusza, dopuszczając się wszelkiego rodzaju niegodziwości, młodzieniec żył, jak w gorączce. Ludka zaś, która po wizycie Bożeny, znacznie przyszła do siebie i poweselała, teraz popadła w głęboki smutek, po całych dniach modliła się i często płakała, a gdy brat był w domu, razem z nim łamała ręce, ubolewając, że nie ma sposobu zapobieżenia coraz większej niedoli, rozpościerającej się w koło jak pożar.

Pewnego dnia rozmawiając z Ludką o opieszałości i wolnem zbieraniu się ochotników, Hołubek biegał po izbie i wołał z uniesieniem:

— Ach! Czemuż nie jestem rycerzem! Czemuż nie mam choć jednej chorągwi pod sobą! Oj, biłby się wtedy człowiek dzień i noc! a tu patrz ze założonemi rękoma, jak jeden arcyksiążę z garścią żołnierzy depce naszą wielką Ojczyznę, którą podziwia cała Europa!

— Bracie! — szepnęła cichutko Ludka. — Pamiętasz co nasz śp. rodzic mówił, że trzeba czynić, gdy Ojczyzna w niedoli, a rycerzy za mało, aby ją bronili?

Gabryel zatrzymał się nagle, jakby do ziemi przyrósł.

— I ty także o tem myślisz? — wykrzyknął. — Te słowa drogiego ojca naszego nie schodzą mi z myśli, skoro tylko Maksymilian wtargnął do kraju. Lecz cóż ja sam zrobię?

— Sam nic! Ale z drugimi....

— Tak jest z drugimi! Ta myśl nie daje mi spać w nocy, pracować spokojnie we dnie.... Ale kto pójdzie ze mną prostakiem?... Więc ty sądzisz, miła siostro, żeby to niebyło zuchwalstwem z mej strony, pociągnąć towarzyszy i uderzyć na wroga?

— Byłaby to chwała i cnota! — zawołała Ludka z ogniem. — O, bracie najmilszy! to palec Boży, że jednę myśl

mamy oboje, która nas dręczy, z głowy nie ustępuje! Koledzy cię kochają.... zowią cię przecie królem kopalni.... oniby poszli za tobą!...

Gabryel potarł ręką czoło, przeszedł się kilka razy po komnacie; Ludmiła wodziła niespokojnie za nim oczyma.

— Teraz czas do kopalni — rzekł nareszcie, — ale dziś wieczorem pomodlę się, będę Boga prosił o światło i postanowię, co uczynić.

Ucałował potem ręce siostry, szepcząc:

— Módl się i ty najdroższa siostro — i wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, pani Adamowa udała się do swej sypialni, gdzie padła krzyżem przed obrazem Najśw. Panienki i tak we łzach i modlitwie przepędziła czas długi, prosząc za przyczyną Matki Bożej o światło i siłę dla brata.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZLĄZAKOM.

Ha, już świta! — Ha już świta!
Hej do pracy, szląska młodzi!
Pierzcha już głupoty ciemność,
Słońce oświaty nam wschodzi!
Witaj świt, błogi świt!
Zwiastując nam lepszy byt!

Naszą polską mowę kryła,
Jak kopciuszka biedna chata.
Hej! wyprowadźmy ją w życie,
Wszak jest śliczna i bogata.
Witaj świt, błogi świt!
Zwiastując nam lepszy byt!

Z naszych praw, z naszej godności
Szydzili wrodzy zuchwali.
Hej, nauczmy ich dobitnie
Że za wcześnie z nas się śmiali!
Witaj świt, błogi świt!
Zwiastując nam lepszy byt!

Polak zawsze hardej duszy,
Zawsze z ideałów słynął,
Pokażmy, że mimo gwałtu
Skarb ten jeszcze w nas nie zginął.
Witaj świt, błogi świt!
Zwiastując nam lepszy byt!

Choć na siłach jeszcze zbywa,
Nie lękaj się Szlązku młody!
W ludzie drzemie moc olbrzymia,
Obudzi się do swobody!
Witaj świt, błogi świt!
Zwiastując nam lepszy byt!

Choć nas zawsze przemoc gniecie,
Burze srożą się w około!
Słońce wejść nam musi przecie,
Więc śpiewajmy wciąż wesoło:
Witaj świt, błogi świt!
Zwiastując nam lepszy byt.

Ks. kardynał Ledóchowski.

(Z ryciną).

Wspaniały jubileusz obchodzi Polska cała, jak długa i szeroka, w dniu 13. Lipca. Otóż w dniu tym jeden z największych obrońców Kościoła katolickiego w czasie kulturkampfu obchodzi rocznicę półwiekowego kapłaństwa. Jest nim obecny Kardynał świętego rzymskiego Kościoła, Ks. Ledóchowski.

Mieczysław Halka hrabia Ledóchowski urodził się w dzisiejszem Królestwie Polskiem w Górkach w województwie sandomierskiem dnia 29. Października 1822 roku. Rodzicami jego byli: Józef Zacharyasz i Marya z Zakrzewskich. Pobożna matka przed narodzeniem się Mieczysława pielgrzymowała pieszo do Częstochowy, ofiarując dziecię swoje Panu Bogu i Królowej Polskiej, a gdy przyszedł na świat, wychowywała go z jak największą troskliwością, wlewając w serduszko jego młode gorącą wiarę ku Bogu i Ojczyźnie. Te pierwsze nauki, z serca macierzyńskiego pocho-



Spotkanie Władysława IV, króla czeskiego i brata jego Zygmunta Starego, króla polskiego z cesarzem Maksymilianem we Wiedniu w r. 1515.

dzące, sprawiły, że młody Mieczysław uczuł w sobie później powołanie kapłańskie i te wysokie cnoty, które są przedmiotem podziwu nietylko u nas Polaków ale całego Kościoła katolickiego.

Pierwsze nauki pobierał Mieczysław w domu rodzicielskim. Posłany później do gimnazyów w Radomiu i Warszawie należał do najpilniejszych uczni. Świetna przyszłość w stanie świeckim, jaka młodemu hrabiemu się otwierała, nie nęciła go. Pragnął poświęcić się wyłącznie Bogu i w tym celu wstąpił do seminaryum Duchownego przy kościele św. Krzyża w Warszawie. Dnia 17. Sierpnia 1841, mając zaledwie 18 lat, przywdział sukienkę duchowną w Klimuntowie, pod którem leżała wioska jego rodzinna.

Po dwóch latach wyjechał dla dokończenia wykształcenia duchownego do Rzymu. Ojciec święty panujący naonczas Grzegorz XVI, uniesiony wielkimi jego postępami w naukach i rzadkiemi zaletami serca, pragnął włożyć na niego święcenia kapłańskie jeszcze przed czasem, jaki kanonami świętymi jest przepisany. Wzbraniał się z początku w pokorze serca kleryk młody przyjąć święcenia, przypominając Ojcu świętemu wiek swój młody i brak potrzebnych do tego wiadomości. Uległ jednak woli Papiezkiej i licząc dopiero 22 lata, dnia 13. Lipca 1845 wyświęcony został na kapłana. W następnym dniu odprawił pierwszą mszą świętą w Krypcie świętego Piotra tuż przy grobie Księcia Apostołów.

Zaraz na samym wstępie kapłaństwa swego pokazał ks. Mieczysław, że z całą świadomością pojmuje wielkość powołania swego. Widząc wałęsających się po ulicach Rzymu dzieci mnóstwo, wstąpił do Stowarzyszenia młodych księży, którzy wzięli sobie za zadanie: wyszukiwać i pozyskiwać zaniedbane dzieci dla Boga i społeczeństwa. Z prawdziwem zaparciem samego siebie chodził młody kapłan po brudnych kryjówkach dla wyszukiwania zaniedbanych dziatek jedynie dla tego, ażeby jak najwięcej dusz pozyskiwać dla Boga. Gorliwość jego o dobro dusz była tak wielką, że w końcu nawet w nocy nie opuszczał dziatek swych. Przebywając w niewygodnych, niezdrowych miejscach zapadł na febrę, z której wywiązała się zaraźliwa ospa. Nie skarżył się na nią ks. Mieczysław, owszem dziękował Bogu, za »ten krzyżyk mały jako nagrodę za skromne usługi dla bliźnich.« Poznajemy z tego wielkość i zacność duszy dzisiajszego Kardynała.

W roku 1846 umarł Papież Grzegórz XVI. Po nim nastąpił Ojciec święty Pius IX, który poznawszy się na zaletach wewnętrznych ks. Ledóchowskiego, zaczął go używać do różnych misyi, które dowodziły, jak wielką pokładał w nim ufność. Nadając mu tytuł tajnego podkomorzego swego, posłał go do Madrytu z kapeluszem dla Kardynała Franzoniego, następnie towarzyszył posłowi papiezkiemu di Pietro do Portugalii. Tam na ulicach miasta stółecznego Lizbony mimo panującego prądu rewolucyjnego, który ogarnął wtedy większą część Europy i który tak groźnie występował przeciw Kościołowi katolickiemu, nie wahał się chodzić po ulicach w rewerendzie. Tłum uliczny śmiał się i obrzucał go za to szyderstwem; to wszystko znosił jednak z pokorą i poddaniem się woli Bożej. Duchowieństwo portugalskie, które lękało się chodzić w rewerendzie, aby nie doznawać zniewagi, poszło zwolna za przykładem młodego kapłana. Pod okiem posła nabył ks. Mieczysław gruntownej znajomości i wprawy w tem, co się tyczy sprawowania urzędów duchownych na wysokich dworach.

Zamianowany w roku 1856 prałatem domowym Ojca świętego, wysłany został jako delegat apostolski do Ameryki Południowej do rzeczypospolitej Nowa Grenada. Tam był dwa lata, poczem odwołany powrócił napowrót do Rzymu, gdzie 30. Września 1858 mianowany został arcybiskupem in partibus infidelium, to znaczy bez rzeczywistej dyecezyi. W tym samym jeszcze roku wysłany został na stanowisko posła papiezkiego w Brukseli w Belgii. Jak wszędzie tak i tu zjednał sobie Ks. Arcybiskup powszechny szacunek wszystkich, szczególnie samego króla, który będąc protestantem, ze względu na ks. arcyciskupa Ledóchowskiego, zezwalał na niejedną ulgę dla katolików, czegoby w innym razie nie był uczynił. Nietylko jako poseł, ale jako kapłan oddał na tem stanowisku wielkie usługi Kościołowi katolickiemu. Popierał stowarzyszenia katolickie, które mając tam wielkie swobody, popierały Ojca św. pieniężnie, otaczał szczególną opieką stowarzyszenia zakonne, bo znał ich ogromny wpływ zbawienny w kraju tak zepsutym, jakim była Belgia wówczas a i dziś jeszcze. Tam żyjąc bardzo umiarkowanie, nie szczędził wydatków na godne reprezentowanie swego stanowiska. Podnosił przez to znaczenie Stolicy Apostolskiej i zaszczyt przynosił społeczeństwu polskiemu, które już wtedy przeczuwało w nim przyszłą swoją chlubę.

Kiedy więc umarł na stolicy arcybiskupiej w Poznaniu ks. Przyłuski, postanowił wielki przyjaciel Polaków, papież Pius IX wybrać na jego następcę kapłana, któryby z jednej strony nie był wstrętnym rządowi pruskiemu, który już naonczas myślał o niemieckim biskupie, z drugiej zaś strony był miłym i Polakom. Tym kapłanem był poseł brukselski ks. arcybiskup Ledóchowski. Rząd się zgodził na jego wybór, zgodziły się nań i obie kapituły gnieźnieńska i poznańska. Dnia 24-go Kwietnia 1866 roku odbyło się uroczyste wprowadzenie ks. Arcybiskupa na stolicę arcybiskupią w Poznaniu. Gdy ks. Arcy-

biskup opuszczał Rzym, ofiarował mu Ojciec święty łańcuch i krzyż do noszenia, te same, które nosił na sobie ks. arcybiskup Franzoni, pierwsza ofiara jedności włoskiej. Ks. Franzoni umarł na wygnaniu, a w testamencie ofiarował Ojcu świętemu pastorał swój i pierścień biskupi a dalej krzyż ozdobiony dyamentami i ametystami, jaki odebrał w podarunku od swych wiernych. Przeczuwał może Ojciec święty, że i na ks. Ledóchowskiego przyjdą ciężkie chwile, a może i — wygnanie.

Jak bardzo się to sprawdziło. Z Rzymu pojechał ks. arcybiskup Ledóchowski do Berlina, aby złożyć przysięgę królowi pruskiemu. Przy tej sposobności wyrzekł król Wilhelm pamiętne słowa: »Stósunki Kościoła katolickiego względem państwa mojego są na całej przestrzeni królestwa mego całkowicie uregulowane, dzięki tradycyi historycznej, dzięki prawu i ustawom krajowym.« Tak powiedział król Wilhelm w roku 1866 a w 7 lat później te stósunki regulowane zostały z nowa przez znane ustawy majowe, które zaprowadziły Ks. Kardynała do więzienia — i na wygnanie.

W Poznaniu przyjmowano z nadzwyczajną serdecznością i radością nowego Arcypasterza. Rozczulony tem Arcybiskup wyrzekł słowa: »O jakże słodko po tylu latach nieobecności znaleść się w pośrodku swoich i na ziemi ojczystej!« Od razu potrafił sobie ująć serca wszystkich. W krótkich tylko słowach opowiemy, co zdziałał Ks. Kardynał jako arcybiskup w Poznaniu. W pałacu swoim zaprowadził codzienne nabożeństwo wieczorne, obostrzył przepisy postne, których dotąd wielu dyecezyan ściśle się nie trzymało i sam w tym względzie służył jak najlepszym przykładem. Był nadzwyczaj dobroczynnym. Rozdawał co mógł i ile mógł. Wspierał zwłaszcza hojnie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo. Gdy po wojnie austryackiej wybuchła cholera, chodził do chorych od domu do domu, tak do szpitali jak i mieszkań prywatnych. Zaglądał i do najuboższych chat, wszędzie niosąc słowa pociechy i pomoc materyalną. Dbał o dobro Kościoła w swej dyecezyi z wielką żarliwością.

Na odprawianych corocznie kongregacyach na przemiany w Gnieźnie i Poznaniu wydawał coraz to nowe rozporządzenia w sprawie wewnętrznej naprawy Kościoła. Starał się o podniesienie stanu seminaryum duchownego, przepisał dla duchowieństwa ćwiczenia duchowne, odprawiające się co dwa lata. Czuwał osobiście nad egzaminami i przewodniczył przy odbieraniu ich. Nie pozwolił na to, aby zdolni klerycy polscy kształcili się na niemieckich szkołach, jak tego pragnął rząd, lecz wysyłał ich do Rzymu, gdzie polscy OO. Zmartwychwstańcy założyli zakład duchowny umyślnie dla Polaków. Zwiedzał kościoły po całej dyecezyi, nie pomijał i najlichszych z nich a często zaglądał i pod strzechy słomiane. Wszędzie go witano ze łzami w oczach i błogosławieństwem, bo dyecezyanie od niepamiętnych czasów nie przywykli do tego, żeby głowa archidyecezyi zwiedzała kościółki wiejskie. Matki wynosiły mu dzieci swoje, aby odebrały znak Krzyża świętego od pierwszego księcia polskiego Kościoła. Dbał o rozwój stowarzyszeń wstrzemięźliwości, nadał tym stowarzyszeniom nowe ustawy, z łaski Kościoła je wyposażył i dbał o to, żeby mu zdawano sprawę o rozwoju ich. Za jego przyczyną po wszystkich prawie parafiach pozaprowadzano nabożeństwa Majowe do N. M. Panny, wskrzesił zaniedbane od wielu lat Roczniki rozkrzewiania wiary; dalej polecił obie Archidyecezye Sercu Jezusowemu. Za jego czasów odżyła cześć dla św. Józefa, który ochrania domy i rodziny od wszego złego. Zajmował się również gorliwie zakonami tak męzkimi jak i żeńskimi.

W roku 1867 przypadła 1500-setna rocznica męczeństwa Piotra i Pawła, na którą podążyło do Rzymu mnóstwo dostojników Kościelnych z świata całego, pomiędzy nimi ks. Arcybiskup. W roku 1869 odbył się sobór powszechny watykański. I wtedy podążył tamdotąd ks. Arcybiskup, gdzie zajmował jedno z najpierwszych miejsc tuż przy Patryarchach. Z Rzymu pisał wtedy listy do jednego z poznańskich dostojników kościelnych, w których pomiędzy innemi wyraża obawę z powodu wojny, jaką wypowiedziano w Berlinie zakonom. Nie przewidywał jednak wtedy jeszcze okropnych skutków tej wojny, wygnania zakonników, zwłaszcza Jezuitów.

Nastała straszliwa wojna francuzko-niemiecka, w skutkach swych tak dla Niemiec wspaniała. Nikt nie pomyślał wtedy, że rząd niemiecki, stojąc u szczytu potęgi świeckiej, zapragnie także potęgi kościelnej, że prześladować zacznie w srogi sposób Kościół katolicki. Wśród tej wojny krótko po koronacyi króla pruskiego na cesarza niemieckiego zjechał niespodziewanie do Wersalu pod Paryżem ks. arcybiskup Ledóchowski. Pojechał tam wśród najtęższych mrozów, aby błagać monarchę niemieckiego o opiekę nad Ojcem świętym, któremu zabrano wtedy Rzym. Czy ks. Arcybiskup jechał tam z rozporządzenia Stolicy świętej, czy też z własnej woli, do dziś jest tajemnicą. Nic jednak nie uzyskawszy, powrócił napowrót do Poznania.

Znamy wszyscy aż nadto skutki kulturkampfu, który wygnał zakony, więził księży, którzy słuchali Ojca świętego zamiast rządu niemieckiego w sprawach kościelnych; pomiędzy innemi prawo, że jeżeli Biskup chce komukolwiek urząd duchowno-kościelny powierzyć, musi się natychmiast udać z tem do naczelnego prezesa prowincyi, a zarazem wymienić nazwisko urzędu albo posady. Prezes może protestować w przeciągu 30 dni. Biskup,

któryby mianowania swego nie poddał pod rozstrzygnięcie prezesa, albo któryby posady duchownej nie obsadził w ciągu jednego roku, ten będzie podlegał karom pieniężnym aż do 1000 talarów. Podobne kary mają ponosić ci, którzyby przyjęli urząd od Biskupa, a bez zezwolenia władz świeckich, — dalej, że tylko władze kościelne niemieckie mogą wykonywać władzę karną, czyli tak zwaną dyscyplinarną. Naturalnie, że Biskupi na te i tym podobne ustawy zgodzić się nie mogli. Jednym z pierwszych w tym względzie był ks. arcybiskup Ledóchowski, którego prześladować zaczęto odtąd na każdym kroku.

Dla nas Polaków wydano oprócz tego wyjątkowe rozporządzenia. Pomiędzy innemi zakazano w wyższych szkołach udzielać nauki religii w języku ojczystym. Ks. Ledóchowski prosił rząd, aby nie odbierano niewinnym dzieciom jedynej sposobności skutecznego poznania prawd wiary, ale nadaremno. Zwrócił się z prośbą do króla samego, ale nie otrzymał odpowiedzi, za to odpowiedział minister, że »do wydanego przez siebie rozporządzenia miał upoważnienie od monarchy.» Nie wiedząc innej rady, kazał ks. Arcybiskup poza szkołą uczyć dzieci religii w ojczystym języku, ale i tego zabroniono. Następnie zabrał się rząd do seminaryi duchownych, zamknął seminaryum duchowne w Poznaniu i inne podobne zakłady. Niedługo potem posypały się kary pieniężne. Kwota, którą miał zapłacić ks. Arcybiskup, doszła w końcu do wysokości trzydziestu tysięcy talarów. Pozabierano z pałacu wszystko, co było można brać. Kiedy już nic nie było do zabrania, przystąpiono do uwięzienia Arcybiskupa na dniu 3-go Lutego 1874 roku. Przez całe dwa lata przebywał w więzieniu w Ostrowie, gdzie spotkał go ten zaszczyt, że Ojciec św. na dniu 15-go Marca 1875 r. mianował go Kardynałem św. Kościoła rzymskiego. 9 miesięcy jako kardynał przebywał jeszcze Ks. Arcybiskup w więzieniu, poczem, aby uniknąć dalszego prześladowania, wyjechał do Austryi, gdzie zwiedził także Kraków. Dnia 28-go Lutego 1876 roku wyjechał do Rzymu. Stanął tam 3-go Marca. Zaprowadzono go zaraz do stóp Piusa IX, który ujrzawszy go, zawołał ze łzami w oczach, roztwierając ramiona: »Witaj, dzielny obrońco wiary!«

Niejedno się w następnych kilku latach zmieniło. Prześladowanie Kościoła zaczęło się zmniejszać, rząd pozwolił powrócić wygnanym duchownym. Powrócili także uwięzieni i wygnani biskupi, jedynie Ks. Kardynałowi wzbroniono objąć napowrót osieroconą dyecezyą. Rząd nie okazywał najmniejszej ochoty do tego, owszem stanowczo oświadczył, że nietylko nie pozwoli Ks. Kardynałowi powrócić, ale nie ustanowi nawet biskupa Polaka. Acz z ciężkiem sercem, musiał się zatem Ks. Kardynał przychylić do życzenia Ojca świętego i dla dobra osieroconej dyecezyi ku nieopisanemu żalowi wiernych złożyć urząd arcypasterski. Nastąpił po nim arcybiskup Niemiec — ks. Dinder.

Za to doczekaliśmy się tej pociechy, że dnia 26-go Stycznia 1892 roku zamianowany został Ks. Kardynał prefektem kongregacyi de propaganda fide, to jest instytucyi kościelnej, której zadaniem jest starać się o rozkrzewienie wiary katolickiej między poganami i połączenie heretyków od Kościoła św. odłączonych. Prefekt propagandy piastuje po Papieżu najwyższą godność w Kościele katolickim i nie zdarzyło się dotąd, aby przed kardynałem Ledóchowskim piastował takową cudzoziemiec. Polacy wszystkich dzielnic Polski wezmą serdeczny udział w uroczystości obchodu półwiekowego jubileuszu kapłaństwa rodaka, który wyposażony rzadkiemi cnotami ducha oddał sprawie katolickiej wielkie usługi i który dla tego właśnie doczekał się najwyższych w Kościele godności. Że wszystkich stron, a więc i z Górnego Szląska podążą adresy z serdecznemi życzeniami do Rzymu, aby Opatrzność darzyła Ks. Kardynała siłą i czerstwem zdrowiem w jak najdłuższe jeszcze lata.

LODOWCE.

Na górach alpejskich i innych górach znajdują się ogromne pola, składające się ze śniegu i lodu. Są to niejako rzeki z lodu, które zapełniają dolinę wysoko położoną i schodzą w doliny niższe. To nie morze zlodowaciałe, lecz rzeka górska zlodowaciała. Źródła takiej rzeki znajdują się w rozgałęzionych końcach dolin i w szczelinach u szczytów gór pełnych śniegu, który spada ze szczytów. Lodowce nie znajdują się tam, gdzie wieczny znajduje się śnieg, lecz zaczynają się niżej, są jakoby cyplami lodu u dachu. Latem śnieg ginie na ich powierzchni, jako i na skałach otaczających lodowce.

Lodowce są niejako końcami świata śniegu, niejako ramiona ludowe, któremi sięga zima w łagodniejsze okolice ze swego wiecznego tronu na dumnych szczytach gór. Zimne masy lodowców wciskają się w ciepłe stoki górskie, pokryte drzewami i zieloną trawą, a czasem sięgają do mieszkań ludzkich. Czasem lodowiec zesunie się aż do pola ze zbożem, czasem stojąc na lodzie, zrywa się wiśnie na drzewie. W Szwajcaryi zaczyna się wieczny śnieg na wysokości 8000 stóp, końce lodowców spuszczają się do wysokości 3000 stóp, a więc leżą lodowce około 5000 stóp niżej wiecznego śniegu.

Lód lodowców jest inny aniżeli nasz, powierzchnia jego jest szorstka a w środku składa się jakoby ze ziarn. Zdaleka błyszczy lodowiec różnymi kolorami począwszy od najpiękniejszej bieli aż do ciemnego modrego koloru i zieleni morskiej. Lodowce są śniegiem, który się przemienił w lód, tworzy się w podobny sposób ze śniegu, jak kiedy ściśniemy w ręce mokry śnieg, który się staje przez to twardą masą. W dolinach i zagłębieniach gór zgromadza się śnieg z wielu zim, czasem leży 800—1000 stóp wysoko. Śnieg nie jest sypki jak mąka lecz ziarnkowaty, bo kiedy powietrze nieco się ociepli, choć na pół stopnia ciepła, śnieg topnieje w kulki jak groch. To śnieg górski, który pokrywa zagłębienia gór czasem na milę kwadratową. To są źródła lodowców. Śnieg górski leży we wielu warstwach, a każda warstwa jest przedzielona czarną powłoką z pyłu. Jedna warstwa ciśnie drugą, woda ze śniegu topniejącego wsiąka głębiej, a z tego powstaje z czasem jedna lodowata masa, z której powstają lodowce, które też składają się z tylu pokładów, z ilu pokładow śnieg składa się we wyższych częściach gór. Ile razy śnieg spadnie, tyle razy tworzy się nowy pokład w polach śniegu i w lodowcach.

Przy górnej części lodowca, tam gdzie styka się ze szczytami, tam nie wielkie są masy lodu, a części lodu są tylko tak wielkie jak groch, dołem, gdzie lodowiec się kończy, są cząstki lodu tak wielkie jak kurze jaje. Kiedy się z góry na dół kopie lodowiec, to w każdej warstwie są kulki lodu większe, w końcu znajduje się jednolity, zbity lód.

Powietrze nad lodowcami jest bardzo suche, ponieważ lodowce zabierają w siebie wszelką wilgoć. Kawał mięsa rzucony na lodowce staje się w kilku dniach tak suchym, że się składa tylko z włókna luźnego. Jeszcze więcej suche jest powietrze we wnętrzu lodowców.

Lodowce poruszają się bardzo wolno i jak się zdaje według tych samych reguł jak rzeki. W roku 1788 położył pewien Francuz drabinę na lodowce. W 44 lata później znaleziono takową 12,000 stóp dalej. Niektóre lodowce posuwają się o 200 stóp rocznie. Im więcej spadzisto leży lodowiec, tem szybciej się zesuwa. Gdzie lodowiec najszerszy, tam się najszybciej posuwa. Podobnie i rzeka szybciej płynie w środku, aniżeli przy brzegach, gdzie się woda trze o brzegi. Lodowce posuwają się też wolniej u góry i u dołu. Skutkiem tego zesuwają się w środku jak rzeki zatamowane. Po wierzchu lodowiec posuwa się szybciej aniżeli w środku. Lodowce poruszają się, ponieważ leżą pochyło i ponieważ woda wnikająca w środek zamarza, rozszerza się przez to i porusza całe masy.

Jak w rzekę wiatr wgarnia suche liście, tak na lodowiec wpadają skały urwane wichrem, wodą, śniegiem, z góry lecącym. Jak woda unosi ze sobą liście, tak lodowce unoszą skały. Z tego powstają wały kamienne, Moreny, które na końcu lodowców wznoszą się czasem na 100 stóp. Kiedy dwa lodowce zejdą się z boku, to się podobnie łączą jak dwie rzeki, zlewają się w jedno i nie ma znaku żadnej granicy.

Rzeka wpada w morze, lodowiec niknie w powietrzu, taje w końcu i dalej się nie posuwa. Im więcej taje, tem więcej zmniejsza się latem, zimą znowu się powiększa. Czasem tamuje się lodowiec nad doliną jako ogromna ściana, Naraz pękają ściany a dziki potok pia-

sku, szlamu, lodu, skał spada w dolinę, niszcząc wszystko.

Latem słychać na lodowcach łoskot. Lód drzy, rysuje się, rozpadliny stawają się coraz większe i szersze. Przyczyną tego woda wnikająca we wnętrze i marznąca. Rozpadliny są czasem na 50 stóp głębokie. Zimą śnieg zasypuje rozpadliny, z czego powstają białe smugi na lodowcach. Jeżeli ludzie przechodzą jeden za drugim przez pola lodowców, to obwiązują się sznurem, aby jeden drugiego wyciągał, jeżeli kto wpadnie w rozpadlinę śniegiem zasutą. Jeżeli człowiek lub zwierzę wpadnie w szczelinę, to lód z czasem trupa podnosi w górę, bo lód gromadzi się z dołu ku górze, górna część topnieje i unosi się w powietrze, a z dołu nowy lód wybija i wznosi w górę wszystko, co się na spód dostało.

Dziwnemi są na lodowcach stoły lodowe. Lód naokoło skały luźnej taje u góry, spodem pozostaje, bo jest w cieniu. Skała stoi wtenczas jak stół na jednej nodze, która jednak staje się coraz ciemniejszą i zapada się, a z nią i skała, pod którą tworzy się nowa noga stołowa.

Najpiękniejszy jest lodowiec u dołu, kiedy z niego strumienie spadają z dzikich sklepień lodowych.

Lodowców liczy się w Alpach wiele set, a niektóre obejmują 50 mil kwadratowych. Niektóre są 1—$2\frac{1}{2}$ długie i $\frac{1}{4}$ mili szerokie. Największe lodowce są przy biegunie północnym.

Są ślady, że gdzie dziś ludzie mieszkają, tam dawniej były lodowce. Tem się to tłómaczy, że na równinach, daleko od gór, znajdują się skały, które tylko przez lody mogły być zaniesione na równiny. Lód stajał na zawsze, a skały pozostały. To się musiało dziać w czasie potopu. W jednem miejscu były wody płynące, w drugiem zamarzłe. Z gór dostawały się całe pola lodowate na morze i wody i płynęły daleko. Skoro wody opadły a lody stajały, skały pozostały. Dla tego znajdujemy w środku Niemiec skały, które oczywiście pochodzą z gór norwegskich i szwedzkich, bo jeden tu i tam kamień i gatunek.

ŚMIERĆ ZDRAJCY.

Ilu jest członków we waszym tajnym związku?

— Dwudziestu i dwóch, ekscelencyo, razem ze mną, lecz ja...

— Nie potrzebujesz pan o tem mówić, od pana będzie zależało, aby się okazać godnym naszego zaufania i łaski cara.

— Zaręczam, że nie mieliśmy żadnych politycznych celów.

— Na to nie mogę zważać. Przyniósł Pan spis członków?

— Oto jest, ekscelencyo.

Naczelnik tajnej policyi wziął papier podany sobie i po cichu porównywał go z aktami leżącemi na stole.

— Beliński, — odezwał się nagle, ostro patrząc na człowieka przed sobą stojącego, — też do was należy?

— On też do związku należy, lecz zaręczam, żeśmy się tylko na to schodzili, aby czytać książki o sprawach społecznych.

— Na to nie mogę zważać, jak już powiedziałem, dla tego niech pan milczy i odpowiada tylko na moje zapytania.

Generał przejrzał raz jeszcze spis członków, mrucząc pod nosem: »Bandi, Lubanow, Sobolis, o tych trzech nie wiedziałem.« Następnie się odwrócił i rzekł:

— Dobrześ pan zrobił, panie Radowicz, przekona się pan, że rząd cara jest wdzięcznym dla tych, którzy mu służą. Ostatni uczynek pana nie tylko zgładzi dawniejsze winy pana, lecz przyniesie jeszcze wielką nagrodę.

— Czy mógłbym się ośmielić uczynić jeszcze jednę uwagę, ekscelencyo?

— Mów pan śmiało, co jeszcze pan ma na sercu? Powiedziałem panu, że nie potrzebujesz się niczego obawiać, a ja przecież mam dosyć mocy, aby dotrzymać słowa.

— To prawda, ale jednak....

— No co?

— Życie moje nie warte ani rubla, skoro się wyda, żem zdradził swych towarzyszy.

— O tem powinien pan był pamiętać, nim wstąpiłeś do związku. Lecz w jaki sposób mamy pana ochronić?

— Skoro wszyscy zostaną uwięzieni, to proszę i mnie uwięzić.

— A więc chcesz pan razem z drugimi pójść do więzienia?

— I przed sąd.

— A może i być skazanym na karę, jeżeli pan sobie tego życzy? A potem?

— Potem chciałbym, aby mnie razem z mniej winnymi ułaskawiono, aby nie było na mnie żadnego podejrzenia.

— Aha, rozumiem pana. Bądź pan spokojnym, wszystko się stanie według życzenia pana, niech się już pan niczego nie lęka.

— Dziękuję waszej ekscelencyi. Czy nie ma dla mnie innych rozkazów?

— Nie, możesz pan odejść.

Naczelnik policyi uśmiechnął się, gdy zdrajca wyszedł. Dobrze sprawę sobie ułożył, pomyślał sobie, chce, aby się z nim obchodzono jak z innymi uwięzionymi, aby ci, którzy może uciekną, nie powiesili go. Niech się stanie według jego woli. Będzie miał, czego sobie życzy.

Tego samego wieczora uwięziono związkowców. Zdybano ich wszystkich na zebraniu, ponieważ nie przeczuwali żadnej zdrady. Byli to akademicy, artyści, młodzi lekarze. Zaprzeczali stanowczo, jakoby działali przeciw rządowi i twierdzili, że się zajmowali sprawami społecznemi a nie politycznemi. Wysłańcy generała Władimirowicza ruszali ramionami z niedowierzaniem. Pomiędzy 22 związkowymi znajdował się też Radowicz, który najgłośniej oświadczał, że jest niewinnym. Po miesiącu zostali osądzeni. Radowicza nie powołano jako świadka, lecz osadzono na ławie oskarzonych. Wszystkich uznano jako winnych. Dwunastu zostało skazanych na Sybir. Radowicz przeląkł się, kiedy usłyszał, że został z dziewięcioma skazany na śmierć, chociaż wiedział, że w ten sposób została tylko wykonana umowa, jaką zrobił z generałem Władimirowiczem.

— Na śmierć przez rozstrzelanie, — rzekł, a zęby mu się trzęsły, kiedy powtarzał sobie wyrok, który miał być nazajutrz wykonany na wałach fortecznych. Przytem powtarzał sobie ciągle w duchu, że te słowa się jego nie tyczą, ponieważ car nawet zdrajcom musi słowa dotrzymać, bo inaczej niktby się nie znalazł, ktoby mu podobne przysługi wyświadczał. Beliński i inni wnet się uspokoili, a kiedy szybko się wszyscy pożegnali, został każdy odprowadzony do swej celi.

Niektórzy z więźniów spali tak spokojnie, jakoby okropny wyrok, który miał być nazajutrz spełniony, wcale ich nie obchodził.

Inaczej było z Radowiczem. Jako zwierz dziki w klatce biegał w celi więziennej, od czasu do czasu ze strachem słuchał przy drzwiach, czy nie słychać kroków wybawiciela, któryby mu wrócił wolność i przyjemność życia. Noc długa, zbyt szybko ubiegła dla niego! Widział dziennie generała Władimirowicza na sądzie, i zdawało mu się, że tenże daje mu znaki oczami, że wszystko jest w porządku. Dwóch dozórców, którzy czuwali nad Radowiczem, daremnie starali namówić go, aby się położył.

— Każdej chwili może nadejść, mruczał pod nosem, lepiej, że będę czuwał, aby nie zaszła żadna pomyłka.

Gardło mu wyschło, język do podniebienia przylgnął, lecz nie chciał przyjąć żadnej ochłody, i nie pił ani wody ani wina. Pot występował mu ze strachu na czole, drżał przed śmiercią. Nareszcie nieco światła zaczęło się przebijać przez ciemne okienko więzienne. To pierwsze promienie dnia, który miał

być ostatnim dla skazanych. Teraz zaczął Radowicz opowiadać z pospiechem dozórcom, że tylko na pozór został uwięziony. Dozórcy spojrzeli na siebie znacząco, jakoby litując się nad biednym więźniem, lecz nie mówili ani słowa.

Po kwadransie zgromadzono wszystkich dziesięciu, którym wybiła ostatnia godzina w podwórzu więzienia. Dziewięciu z nich było spokojnych i przygotowanych; dla nich śmierć przestała być gorzką, lecz jeden był ofiarą ogromnego strachu śmiertelnego, który było widać na twarzy wybladłej jak ściana i na ustach drzących. To był Radowicz, którego wszyscy inni pocieszali i odwagi mu dodawali.

— Chodź, Dymitrze, — wołał jeden, — wszyscy winniśmy narodowi naszemu życie, lepiej teraz zapłacić dług, aniżeli później.

— W górę głowę, kamracie, — wołał drugi, nie rób tym najemnikom tej przyjemności, aby cię widzieli smutnego.

— To pomyłka, to niepodobna, — wrzeszczał nieszczęśliwiec, patrząc osłupiałym wzrokiem. — Gdzie jest generał Władimirowicz?

— Jego nigdy nie ma przy egzekucyach, — odpowiedział żołnierz, którego się Radowicz pytał o generała. — Dał rozkazy swe ubiegłej nocy.

Potem ruszyli kandydaci śmierci ku wałom fortecznym. Ksiądz z krzyżem szedł naprzód, skazani postępowali jeden za drugim w szacie śmiertelnej, koszuli z białego płótna. Słońce jeszcze nie było weszło, kiedy szereg powoli posuwał się na miejsce śmierci. Życie skazanych liczyło się tylko na minuty i straszliwie szybko zbliżało się ku końcowi z każdym krokiem, który czyniono.

Nareszcie doszli na miejsce przeznaczone. Wbito w ziemię dziesięć pali, do których przywiązano skazanych. Przed nimi stanęła kompania żołnierzy, wymierzyli lufy ku skazańcom, a pierwsze promienie słońca odbijały się w stali. Na czele żołnierzy stał oficer, który miał dać znak, aby strzelono.

Spełniono ostatnie przysposobienia do śmierci. Podano krzyż do pocałowania skazanym. Potem ze strony sądu przeczytano jeszcze raz wyrok, złamano laskę i rzucono przed nogi skazanym. Głębokie milczenie panowało w tej chwili, możnaby było słyszeć lot muchy.

W tem zaszła rzecz nadspodziewana. Oficer, który miał dać znak do strzelania, zakomenderował: zwrot i odszedł z wojskiem. Skazanym oznajmiono, że car ich ułaskawił. Odwiązano ich od palów. Zdawało im się, że się przebudzili ze złego snu, z początku zdawało im się, że niepojęli co się z nimi stało. Potem uścisnęli się i życzyli sobie szczęścia, że wrócili do życia. Tylko jeden milczał i nie ruszył się. Kiedy go odwiązano, padł prosto twarzą na ziemię.

— Omdlał, — rzekł jeden z żołnierzy, — prędko wody.

Lekarz przystąpił.

— Niczego nie potrzebuje już, strach przed śmiercią zabił go. Zmarły był Radowicz — zdrajca.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Spotkanie się Władysława IV Jagiellończyka i brata jego Zygmunta Starego, króla polskiego z cesarzem Maksymilianem w Wiedniu w roku 1515. Władysław IV był najstarszym synem króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, który to z Zakonem krzyżackim wiódł długoletnią wojnę i zakończył ją zupełnem upokorzeniem Krzyżaków. Młodszym synem Kazimierza był św. Kazimierz, Władysław był zatem bratem ostatniego. Władysław urodzony w roku 1456, wyniesiony został w roku 1471 jako 15-letni młodzieniec na tron czeski, do którego przyłączył w roku 1490 także i tron węgierski. W początkach swego panowania prowadzić musiał długoletnią wojnę z królem węgierskim, Mateuszem, który rościł sobie prawa do tronu czeskiego. W r. 1479 nastąpił pokój, na mocy którego musiał Władysław ustąpić tronu Mateuszowi, który nadto przyłączył do królestwa węgierskiego Morawią, Szląsk i Łużyce. W r. 1490 umarł Mateusz, Władysław obwołany został znowu królem czeskim a zarazem i węgierskim. Za jego czasów doszła szlachta węgierska do wielkich wpływów. Lud wiejski popadł w zupełną niewolę, tak samo i mieszczaństwo doznawało wielkiego ucisku. Wyłączono nawet miasta od udziału w sejmach. Powstawały wskutek tego wewnętrzne walki, w których miasta wywalczyły w końcu przynależne sobie prawa. W r. 1515 zjechał się wraz z bratem swym Zygmuntem, królem polskim i cesarzem Maksymilianem w Wiedniu. Chwilę tę przedstawia nam rycina na str. 216. Na zjeździe tym odnowiono dawne umowy co do następstwa tronu austryackiego na tron czeski i węgierski, oraz postanowiono małżeństwo syna Władysława Ludwika z wnuczką cesarza Maryą. Władysław umarł już w roku następnym w Budzie na Węgrzech, pozostawiając tron czeski i węgierski synowi swemu Ludwikowi.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp. w zast.: D. Kowalski w Bytomiu.

Towarzystwo boskiego Zbawiciela.

Chrystus Pan nauczył słowem i przykładem poświęcenia dla bliźnich z miłości Boga. Chrystus Pan działa w kościele, dla tego w kościele katolickim, który przez to daje dowód, że jest jedynie prawdziwym, widzimy jak się ludzie poświęcają na to, aby zaradzić różnym potrzebom bliźnich, jak pełnią uczynki miłosierne co do ducha i co do ciała. W życiu świeckiem ludzie jednoczą się w związki i towarzystwa, bo wiedzą, że zjednoczonemi siłami więcej można zdziałać aniżeli pojedyńczo. Kościół zna siłę zjednoczenia od samego swego początku i nigdzie tej siły nie używa się tak często jak w kościele. Na tem prawie o zjednoczonych siłach opierają się zakony i różne zjednoczenia religijne, a powstają coraz nowe według potrzeby czasu i ludzkości.

Od lat 14 istnieje »Towarzystwo boskiego Zbawiciela«, którego celem jest nauczanie religii i innych przedmiotów i pomaganie w pasterzowaniu dusz. Ze sprawozdania towarzystwa dowiadujemy się, że ma już takowe 14 domów w Europie, Azyi, Ameryce północnej i południowej. W domu macierzyńskim w Rzymie wielu się sposobi na członków towarzystwa, a 40 otrzymało tytuł doktora lub podobne. Towarzystwo wydaje kalendarz i dwa pisma, z których jedno dla dzieci. Pisma mają 70 tysięcy abonentów. W Sycylii otrzymało towarzystwo wielki klasztór i kościół i liczy tam już 20 członków. Alumnat ma Towarzystwo w Tiwoli pod Rzymem. Na Austryą zostało towarzystwo przez władzę świecką dopuszczone i udziela nauki religii w Wiedniu dla 5000 dzieci. We Fryburgu w Szwajcaryi, gdzie istnieje akademia katolicka, ma towarzystwo też swój dom.

Część misyi w Indyach oddana jest towarzystwu i wielu pogan tam nawrócono. W Ameryce północnej działa towarzystwo mianowicie w stanie (prowincyi) Oregon; w Brazylii w prowincyi Esmeraldas, gdzie innych księży wcale nie ma.

Wspomnienia o matce.

Liczyłem około pięciu lat. Najmłodszy mój braciszek leżał w kolebce i spał. Było to wieczorem. Naraz usłyszałem głos matki. »Dzieci,« mówiła, »jutro świętego Franciszka, patrona Franka, który leży w kołysce. Przypadają zatem imieniny jego. Maleńki jeszcze się nie może modlić do swego patrona. Módlmy się za niego.«

Wielu ludzi w dzień imienin weseli się i raduje, spędza dzień rozkosznie przy jedzeniu i spijaniu wina, nie pomyślawszy przytem o głębszem znaczeniu tej uroczystości. U matki mej łzy płynęły, a to wino najlepsze, bo wino aniołów.

* * *

Pewnej Niedzieli szedłem z matką za wieś do krewnych. Byliśmy ubodzy, a obuwie jest drogie. Wyzuliśmy się zatem, aby obuwia oszczędzać. Droga prowadziła mimo wody pod górkę, gdzie było pełno małych, ostrych kamieni. Bardzo nam takowe dokuczały. »Cierp, moje dziecko,« uspakajała mnie matka, »pomyśl sobie, jak bardzo cierpiał miły nasz Zbawiciel, kiedy boso szedł na górę kalwaryjską, a przytem zmuszono go do dźwigania ciężkiego krzyża, bito i popychano go.« Potem wzięła różaniec i poczęła się modlić. Od tej chwili nie czułem żadnego bólu.

* * *

Przez pewien czas byłem bardzo marudny i smutny. Późno wieczorem zagasiłem światło i położyłem się spać. Ciemna noc jest matką ciemnych myśli. Przyszło mi na myśl, iżby było właściwie najlepiej, iżbym się nie był wcale narodził. Długo się męczyłem, długo się biłem z memi myślami, aż nareszcie usnąłem. Śniło mi się, żem spotkał matkę. Niosła ciężki kosz z trawą, pot lał się z jej czoła. Stanęła przedemną, zatrzymując się, nie mówiła ani słowa, lecz patrzała na mnie swemi miłemi, dobremi oczyma macierzyńskiemi, a wzrok jej był pełen znaczenia. O! ileż to leży w jednem spojrzeniu matki!

Obudziłem się. To co mi się śniło, zajmowało jeszcze całkiem moje serce. Pomyślałem sobie: Matka tak wiele cierpiała za mnie, tyle pracowała i mozoliła się, a nigdy się nie skarżyła, a ja mam szemrać. Pomodliłem się słowy »Ojcze nasz« za dusze w czyścu i zasnąłem. Rano byłem jak nowo narodzony.

Niejeden mówi, że dusze po za grobem nie stoją w związku z nami, że zerwane są węzły, które nas na ziemi łączyły z osobami miłemi.

* * *

Umarł w naszej wsi stary, obcy żebrak. Na koszt gminy sprawiono mu trumnę, a ksiądz zaprowadził ciało na cmentarz. Lecz chciano go położyć w trumnę w starych jego łachmanach. Kiedy to usłyszała moja matka, zaczęła szukać w skrzyni, wzięła dobrą jeszcze koszulę i zaniosła dla żebraka.

»Ależ matko,« mówiłem, »czemu bogatsi nie dadzą koszuli żebrakowi? My sami przecież nie mamy dosyć koszul.«

»Bogaci, moje dziecko, zwykle znowu bogatym dają podarki, ubogim musimy dawać my ubodzy.«

Czy zwierzęta przywłaszczają sobie cudze rzeczy?

Niektóre ptaki rodzą się już złodziejami, jak naprzykład: sroki i kruki; pociąga je każdy błyszczący przedmiot i skwapliwie starają się go przywłaszczyć. Nieraz znajdowano w ich gniazdach srebra i klejnoty, które zginęły w tajemniczy sposób. Zwierzęta można także wytresować do kradzieży. Walter Scott opowiada, że w dolinie rzeki Tweed mieszkał wieśniak, który nauczył psa kraść owce. Czworonożny złodziej doszedł do takiej wprawy, że wskazane mu przez pana sztuki porywał podczas ciemnej nocy z pastwiska i przyprowadzał do zagrody. Ten sam autor wspomina o innym psie, którego nauczono kraść w sklepach rożne wiktuały. Ilekroć pan jego wchodził do sklepu, pies udawał, że go nie zna i dopiero po wyjściu pana chwytał jakiś przedmiot i uciekał za nim. Koty znane są z łakomstwa i nieposzanowania cudzej własności, łatwo można je wyćwiczyć w złodziejskim kunszcie. Pewna pani zauważyła, że ciągle giną różne rzeczy z dziecinnego pokoju, gdzie okna były zwykle otwarte Ukrywszy się za parawanem, spostrzegła wielkiego kota, który wsunął się ostróżnie przez okno, porwał dziecinny trzewiczek i uciekł. Pewien podróżny w Indyach widział słonia, który przechodząc koło otwartych okien, wsuwał w nie trąbę i chwytał wszystko, co mu pod trąbę podpadło. Zabawna jest historya pewnego prawnika, który kupił tanio na targu pięknego konia. Puścił się na nim w podróż, a było to jeszcze w epoce, kiedy nie znano kolei. Wszystko szło dobrze, póki nie wjechał w las i nie spotkał podróżnego; był to kupiec, wracający wózkiem z jarmarku. Wierzchowiec prawnika skoczył nagle i zastąpił drogę kupcowi, który pomyślał, że ma do czynienia z rabusiem, więc co prędzej chciał oddać pieniądze. Rzecz się wyjaśniła i prawnik pojechał dalej. Niebawem napotkano na karetę pocztową i wierzchowiec znowu zagrodził jej drogę; tym razem posypały się razy na konia i jeźdźca. Pokazało się, że sprytny rumak należał dawniej do rabusia i pomagał mu w zbójeckiem rzemiośle.

Praktyczne rady.

— **Czyszczenie zabrudzonych butelek.** Nieraz jest bardzo trudno wymyć zabrudzoną karafkę lub butelkę; istnieje na to nader łatwy i prosty sposób. Wsypać trzeba trochę trocin drzewnych w butelkę, zalać ciepłą wodą i wstrząsnąwszy mocno, czystą wodą przepłukać. Jeżeli brud nie puści od pierwszego razu, trzeba powtórnie nasypać trocin.

— **Zatamować krwiotok.** Niektóre osoby mają taką skłonność do krwiotoków, że najmniejsze zadraśnięcie, skaleczenie lub wyrwanie zęba wywołuje znaczny upływ krwi, który się może nawet stać groźnym. Jeżeli po wyrwaniu zęba nie można krwi zatamować, trzeba wziąść nieco szarpi, nasypać na nie kredy i zwinąwszy umaczać w oczyszczonej terpentynie. Zwinięte szarpie wciska się w otwór po wyrwanym zębie i zmienia się je co dziesięć minut, dopóki krew nie przestanie płynąć. Wtedy można zostawić całą noc. Krwiotok z nosa u dzieci jest niekiedy dla nich pożyteczny, za to u ludzi podeszłych może być groźny. Pacyenta trzeba wtedy posadzić na krześle, owiązać głowę ręcznikiem zmaczanym w zimnej wodzie, ręce zaś wziąść w tył lub podnieść nad głowę. Zatykać nos byłoby niebezpiecznie, bo krew, nie mając ujścia, zalałaby gardło; w ostateczności można wciągnąć w nos wodę z ałunem.

— **Pielęgnowanie kanarków.** Jeżeli mamy staranie o kanarkach i troskliwie je pielęgnujemy, z pewnością chorować nie będą. Klatkę trzeba utrzymywać nadzwyczaj czysto i codzień wysypywać ją piaskiem lub żwirem. Siemię powinno być w najlepszym gatunku, woda codzień odmieniana, a podczas lata dwa razy dziennie. Kiedy ptak traci pióra, dobrze jest dawać mu czasem rodzaj ciasta z twardych jaj i okruszyn chleba. Kanarki nie lubią ani zimna, ani przeciągu; jeden ostry powiew wiatru może być dla nich zabójczy; z drugiej strony powietrze w pokoju musi być czyste i często odświeżane. Ażeby uchronić ptaki od robactwa, dobrze jest powiesić w klatce maleńki woreczek muślinowy, napełniony kwiatem siarczanem. Cukru, ciasta i rodzynków nigdy nie trzeba dawać kanarkom.

Rozmaitości.

* **Już w roku 1879** próbowano zastosować elektryczność do órki. Pierwsza próba odbyła się we Francyi, w dep. la-Marne: pług elektryczny zorał w przeciągu sześciu godzin pole, mające około dwunastu morgów rozległości. W Holandyi czyniono także podobne próby w r. 1881, używając za motor wodospadu. Firma Siemens i Halske w Berlinie wyrabia pługi elektryczne i wysyła je na Jawę, gdzie w skutek pomoru bydła znaczne przestrzenie ziemi leżą odłogiem. W Hiszpanii także zaprowadzono, w niektórych miejscowościach, órkę elektryczną; w Australii posługują się dynamitem do rozsadzenia zeschniętego jak kamień gruntu.

* **Najwięcej teatrów** jest w Paryżu: na 32,000 mieszkańców przypada jeden teatr. W Ber-

linie jeden teatr na 81,000, w Bordeaux na 84,000, w Peszcie na 85,000, w Hamburgu na 113,000, w Wiedniu na 138,000, w Londynie 145,000.

* **Jakiś francuzki technik** wynalazł sposób ulepszenia gazu przez połączenie gazu z elektrycznością. Sposób ten da się zaprowadzić przy istniejących już przyrządach gazowych. W kołach rzeczoznawców wywołał ten wynalazek prawdziwe zdumienie. Siła światła równa się światłu dziennemu, — wszelkie dotychczasowe sposoby oświetlenia byłyby zatem bladem jego odbiciem. Przytem światło ma być znacznie tańsze od wszelkich dotychczasowych.

* **Gdzie znajdują się relikwie narzędzi męki Pańskiej?** Część trzciny, którą żołnierze dali Panu Jezusowi w rękę w chwili, gdy mu włożyli cierniową koronę na głowę i naśmiewali się następnie z niego, jako z króla żydowskiego, znajduje się w kościele katedralnym w Florencyi we Włoszech.

Cierniową koronę przesłał król jerozolimski Baldwin II królowi francuzkiemu św. Ludwikowi, który panował od 1226 do 1270. Król świątobliwy kazał wystawić w Paryżu wspaniały budynek, który nazwał »świętą kaplicą« i tam umieścił świętą relikwię, jako też większą część prawdziwego krzyża świętego, gąbki i dzidy. Korona cierniowa znajduje się tam do dziś dnia jeszcze w wspaniałym kryształowym relikwiarzu; składa się z wiązki drobnego sitówia, kształtu korony, które splecione są w sobie. Kolce, które rozdzielono w rozmaitych miejscach, nie znajdują się w Paryżu. Jeden kolec korony cierniowej znajduje się w kościele Spina w mieście Pizie. Gąbka, którą zaspokojono pragnienie Zbawiciela, przechowują w kościele Panny Maryi w Trastevere w Rzymie; jest czerwony, nie wiadomo, czy od farby, czy od krwi. Słup, przy którym Chrystusa biczowano, znajduje się w Rzymie w kościele św. Praksedy. Jest z brunatnego marmuru. Długość jego wynosi $1^1/_2$ stopy; spodnia jego część ma 12, czubek 8 cali średnicy. Jest jeszcze u tego słupa żelazny pierścień, przy którym wiązano zbrodniarzy.

Napis na krzyżu wykonany w języku hebrajskim, greckim i łacińskim, składa się z czerwonych głosek na białem drzewie, wyrazy »Jezus i Judaeorum« są zatarte; tablica jest 9 cali długą, kiedyś była o 3 cale większa. Takowa znajduje się w pewnym klasztorze w Libanonie. Napis łaciński znajduje się jednakowoż w Rzymie w kościele św. Heleny.

Tak samo znajduje się w Rzymie dzida, którą jeden z żołnierzy otworzył bok Chrystusa; u takowej brak jednak czubka. Król Baldwin II (1118—1131) z Jeruzalem podarował koniec takowej rzeczypospolitej weneckiej; św. Ludwik, król francuzki, sprowadził tę świętą relikwią do Paryża i umieścił w »świętej kaplicy.«

Jeden z gwoździ, którymi Zbawiciela przybili do krzyża, znajduje się w Rzymie w kościele św. Krzyża. Gwóźdź opiłowano, tak że brak mu końca. Pył, jaki wydobyto przy opiłowaniu gwoździa, zużyto do innych podrobionych gwoździ, których następnie pozbywano się za prawdziwe gwoździe. Drugi prawdziwy gwóźdź znajduje się w Trewirze, gdzie pomieszczono także Jego świętą sukienkę.

Cząsteczki krzyża świętego, na którym Chrystus umarł, posiadają liczne domy Boże, a nawet niektóre osoby prywatne. Te cząsteczki mieszczą się zwykle w naczyniach, podobnych do monstrancyi. Znaczna część krzyża świętego znajduje się w Rzymie; łatwo z nich rozpoznać można, że są z drzewa cedrowego. Krzyż święty miał krztałt wielkiej łacińskiej głoski T. Część głównej belki ponad belką poziomą, stanowi tylko napis, który Piłat kazał umieścić nad głową Zbawiciela.

* **W jaki sposób odgadnąć liczbę, którą ktoś pomyślał?** Trzeba, żeby osoba, która pomyślała jaką liczbę, podwoiła ją, potem dodała do niej 10, a potem podzieliła ją na połowę. Wtedy trzeba się zapytać, jaka jest ta połówka, a odjąwszy od niej 5, znajdziemy liczbę, którą osoba pomyślała. N. p. liczba 7 pomnożona przez dwa będzie 14; $14 + 10 = 24$; połowa 24 jest 12, odjąć 5 od tej cyfry, a zostanie 7.

ŻARTY.

Dobra uwaga.

— A jakeście nazwali małego?

— Polikarp, proszę łaski pana...

— Pfe, kto słyszał takie imię dawać dziecku, to jest dobre dla dorosłego człowieka.

Jęk modnisi.

— Ach, jak ci do twarzy w tym żałobnym kapeluszu!

— Cóż z tego, kiedy na nieszczęście nikt taki nie umarł, żebym go mogła nosić!

Różne zapatrywania.

Pan: Patrz Pan, jak palce moje pozostawiają ślady na płycie stołu! To dowodzi, że stół jest źle politurowany.

Stolarz: Nie, lecz że pańskie palce są brudne!

— Żydzie, gdybyś znalazł w szabas worek z pieniędzmi, podniósł byś go?

— Nu, poco mam odpowiadać, ani worek z pieniądzmi nie widzę, ani dzisiaj szabas!

W karczmie.

— Cóż tam kumie, jużeście poorali, zasiali?

— A kiej tam; nie ma casu człek się zabrać. Dziś odpust w Głupcowie, to jakoś dzień zesedł. Wcoraj byłem na jarmorku w Durniowie, a jutro znowuś targ w Soberce, a w piątek mamy odpust w cudownych Hołowicach. W sobotę znowu święto...

— Ruskie ponoś.

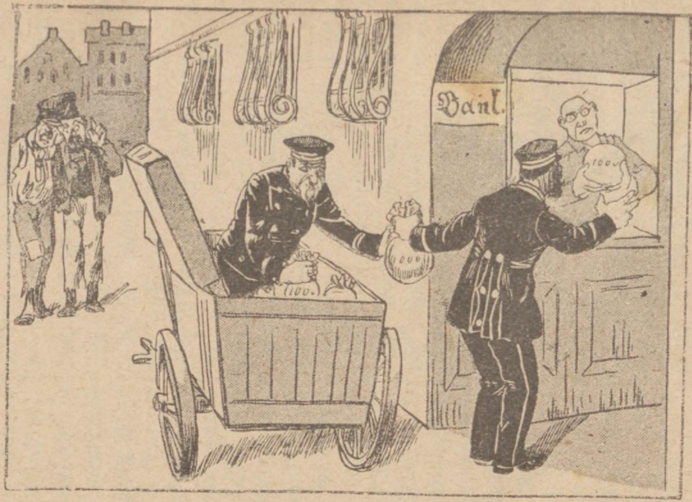
— A moja babka ruska — to trza świątkować, bo ona świętuje, znowuś moje święto.

Dwóch znajomych rozmawia o powodzi.

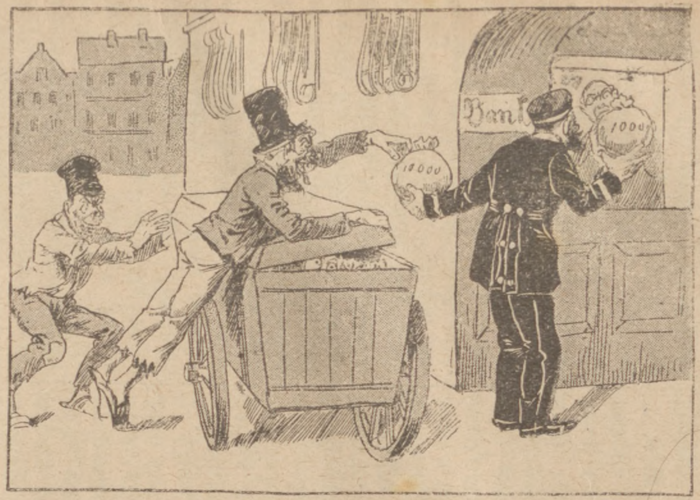
— Rzeka wezbrała do tego stopnia, że dokoła byliśmy otoczeni wodą. Kto oto umiał pływać rzucał się do wody i uciekał.

— A kto nie umiał pływać?

— Uciekał piechotą.



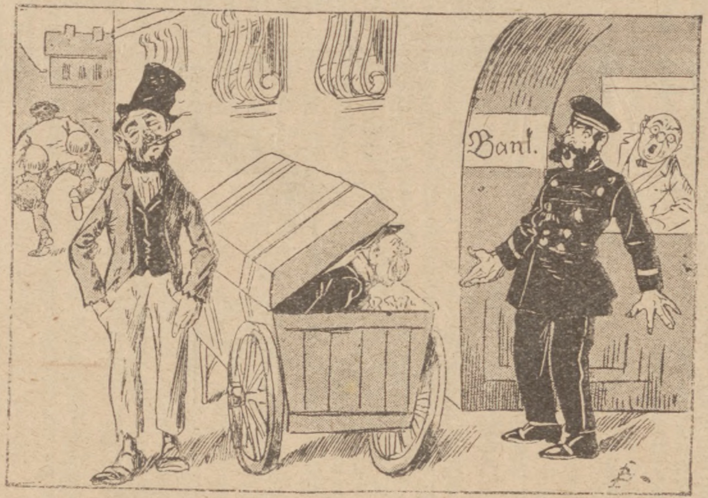
Urzędnik bankowy wylicza woźnym pieniądze w woreczkach, z których każdy mieści w sobie po 10000 marek. Drugi z woźnych układa pieniądze do urzędowego wózka. Z boku przypatruje im się dwóch uliczników, którzy



nic dobrego nie mają w myśli. Jeden z opryszków przypada znienacka do wózka, wskakuje nań i przygniótł wiekiem wylęknionego woźnego, zanim ten przeczuł, na co się zanosi. Urwisze zabrali się teraz do odbierania worków



z rąk niczego się nie domyślającego kolegi uwięzionego. Wyliczenie pieniędzy się skończyło. Jeden z łobuzów zmyka z pieniędzmi, drugi z najniewinniejszą



miną patrzy w świat Boży. Urzędnik bankowy i woźny z przerażeniem wpatrują się w wydobywającego się z pudła urzędowego ofiarę napadu, domyślając się przyczyny.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.